

Oto K. Człowiek, który na święta wyjechał do rodziców mimo swoich czterdziestu z górą lat. Samotnik, a jakże. Nawet potraw świątecznych, które mu mama spakowała, nie schował do lodówki. Wrócił tylko do siebie i dalej do starożytnych manuskryptów. Zanurzył nos i siedzi w ten wieczór odcyfrowując przebrzmiałą wiedzę.

Gdzie atmosfera świąt, spytasz? Została u rodziców. A było jej mnóstwo. Zjechali i bracia i siostry. Przywieźli wnuczeta weselo wrzeszczące i nieustannie ganiające się po domu. Jego ojciec i matka starali się dogodzić wszystkim w ten radosny czas Bożego Narodzenia.

Gdzieś pośród tego ciepła, miłych krzątania i uprzejmości siedział on, K. I spływało to po nim, jak po kacze. Usiłował spokojnie i bez przykrości spędzić te kilka dni w gronie rodzinnym. Krył, jak bardzo jest nerwowy, jak bardzo chce wrócić do Bereszit, Szemot, Wajikry, Bemidbar i Dwarin. Odkąd odnalazł pięć prastarych złotych pierścieni, poszukiwania wiedzy stały się obsesją. Gdyby mógł, nie przyjeżdżałby na święta wcale, ale potrzebował środków, by kontynuować swą pracę. Poprosił rodziców o pożyczkę. W ten pogodny czas nie byli w stanie mu odmówić.

Minęło pięć dni od Wigilii, gdy wreszcie był u siebie i mógł wznowić walkę z Genesis, Exodus, Leviticus, Numeri i Deuteronomium. Stąd bezładnie rzucony na krzesło płaszczyz w przedpokoju i nierozpakowane jedzenie na stole w kuchni. Całkowicie pochłonęło go wyznaczone sobie zadanie. O wszystkim innym zapominał, gdy tylko znikало z widoku.

Pole bitwy znajdowało się w salonie dwupokojowego mieszkania. Przeszłszy próg owego pomieszczenia miało się wrażenie, że wkracza się do starożytnej biblioteki. Cała podłoga usłana była manuskryptami i ich kopiami. Pod ścianami piętrzyły się stosy książek. Telewizor przykryty był archaiczną mapą Wschodu. Jakby tego było mało, w najdziwniejszych miejscach wały się kserokopie i dokumenty z fiszkami: sterta na tapczanie, cześć pozwijana w rulony i wetknięta w doniczkę z dawno uschlłym fikusem, inne znów zgniecione i ciśnięte gniewnym ruchem w najdalsze kąty. W tym chaosie pozory porządku prezentowało masywne biurko. Najpewniej dlatego, że siedział za nim K. i z wielkim zacięciem przy pomocy ogromnego szkła powiększającego odcyfrowywał zeskanowaną kolejną stronę prastarej księgi.

Nie znalazłszy w niej potrzebnych danych cisnął czym prędzej na środek pokoju zgniecioną w kulkę. Spojrzał w swe notatki sporządzone w podręcznym notesie. Przeszedł do sterty dwudziestowiecznych książek. Wyszperał grube opracowanie na temat Tory. Przejrzał je pobieżnie, aż natrafił na czerwoną fiszkę. Wczytał się. Podrapał po głowie. Odłożył książkę. Zaczął przeszukiwać porozrzucane po podłodze manuskrypty. Gdy po dobrych kilku minutach dopadł właściwy, wrócił za biurko.

Dziwnie wyglądał. Zdawałoby się, jak zwykły gryziopiórek w znoszonym sweterku, siedzący za masywnym biurkiem oświetlonym pojedynczą lampką i czytający. Idylliczne wrażenie psuł nerwowy gest pocierania lewej skroni palcem wskazującym i środkowym. Oraz płonące szaleństwem oczy.

Koło ósmej zadzwonił telefon. Stary, stacjonarny aparat telefoniczny w przedpokoju zabrzmiał złowroźnie. K. zerwał się, jak oparzony. Ręce mu drżały, gdy odbierał.

- Witam. Wiesz, kto mówi? – zaszeptał głos w słuchawce.

- Tak – odpowiedział niewyraźnie K. przełykając nerwowo ślinę. – Tak! – Prawie krzyknął dając upust

nagromadzonym emocjom.

- Słyszę, że tylko czekałeś, aż zadzwonię. Prawda? – I nie czekając odpowiedzi. – Jeśli masz ostatnią ratę, to dobijemy targu.

- Mam. Tyle, ile chciałeś. Mam wszystko. – Podczas rozmowy twarz K. wyrażała taką żądzę posiadania, że stawała się swoją własną karykaturą chciwości.

- Przyjdę za godzinę. Bądź gotowy, by dokonać transakcji. – Obcy się rozłączył.

K. odłożył słuchawkę. Czuł się jak pusty w środku balon. Na zewnątrz objawiało się to tym, że idąc przez mieszkanie rzucało nim na boki, jak pijanym. W pewnym sensie był pijany, pijany emocjami, które uwolniły się w przeczuciu bliskiego spełnienia.

Nazbierało się ich wiele przez ostatnie trzy i pół roku. Tyle właśnie minęło odkąd pierścienie wkroczyły do jego życia.

Zaczął się niewinnie. Dostał kolejne zlecenie, a trzeba Wam wiedzieć, że był renowatorem zabytków. Miał odnowić kilka starożytnych manuskryptów. Jeden z nich napisany został prostym kodem polegającym na zamianie liter miejscami. Zaciekawiony rozszyfrował ukrytą treść. W ten sposób po raz pierwszy natknął się na legendę o pięciu złotych pierścieniach. Zdumiony rozpoczął poszukiwania potwierdzenia odczytanej historii w innych źródłach. Na początku bezskuteczne – ani jego koledzy po fachu, ani historycy nie potrafili mu nic podpowiedzieć. Dopiero wśród zbiorów prywatnych kolekcjonerów prastarych artefaktów, którzy wynajmowali go do renowacji i zabezpieczenia swoich okazów, odnalazł kolejne elementy układanki. Praca nad legendą stała się najpierw jego hobby, a później obsesją.

Wszystko zaczęło się w 587 roku p.n.e. Babiloński król Nabuchodonozor II najechał Jerozolimę i zniszczył słynną Świątynię Jerozolimską. Mówi się, że przechowywana w niej Arka Przymierza została zagubiona. Legenda jednak podaje inną wersję. Mimo prób jej uratowania, słynny artefakt spłonął – w końcu był tylko drewnianą skrzynią obficie pozłożoną. Pożar był tak wielki, że złote okucia stopiły się. Umieszczone w niej kamienne tablice z X Przykazaniami rozsypały pod wpływem temperatury. Laskę Aarona strawił ogień. Oryginalna wersja Pięcioksięgu, najważniejszej części Starego Testamentu, zawierająca pakt z Bogiem, nie uszła zniszczeniu. Tak się przynajmniej z początku wydawało.

Arka spłonęła na głównym ołtarzu, na którym w czasie świąt składano ofiary ze zwierząt. Płynne złoto spłynęło kanałami służącymi do odprowadzania krwi. Ale nie całe. Na ołtarzu pozostało pięć zastygniętych kół powstałych ze stopionego kamienia z tablic X Przykazań, popiołu z Tory i drewna, a wszystko mieszane i spojęne stygnącym złotem. Koła zostały w tajemnicy oszlifowane w pięć pierścieni. Jakież było zmieszanie najwyższych arcykapłanów, gdy okazało się, że na powierzchni każdego z nich pojawił się tekst jednej z ksiąg Tory, Pięcioksięgu.

Ostatnia część legendy mówi, że cudowne pierścienie miały zastąpić Arkę Przymierza w nowobudowanej Świątyni Jerozolimskiej. Zostały w tym celu przekazane niższym kapłanom, by spisali widniejące na nich słowa i przechowali do dnia, gdy wieść o znalezisku ogłosi się ludowi.

Nigdy jednak do tego nie doszło. Niżsi kapłani zaczęli bowiem głosić, że za pomocą pierścieni mogą się kontaktować z Bogiem tak, jak kontaktował się Mojżesz dzięki Arce Przymierza. Więcej, że okazali się godnymi. Że są Bożymi Wybrańcami.

Zazdrość i zawiść najwyższych arcykapłanów sprawiła, że postanowili oni użyć wpływów, by

niepokornych kapłanów zabić, a pierścienie zniszczyć. Używając straży świątynnej i najętych siepaczy prawie udało im się tego dokonać. Wywiezione z Jerozolimy pierścienie przepadły w mroku dziejów.

Za blisko godzinę miały się znaleźć w jego, K., posiadaniu. Wydał na to cały swój majątek i jeszcze zaciągnął kredyt. Tajemniczy jegomość w nieznany sposób dowiedział się, że K. ich poszukuje. Zaproponował transakcję życia. Pozwolił sprawdzić autentyczność artefaktów, ale nie zdradził, kim jest, ani dlaczego się ich pozbywa. Był osobliwie skryty.

K. czekał niecierpliwie. Wielokrotnie brał się za różne zajęcia, ale nie był w stanie skupić się dłuższą chwilę na żadnej rzeczy. Napięcie zjadało mu nerwy.

W końcu zabrzmiał dzwonek u drzwi. Nasz bohater aż zadrżał. Podeszedł do wizjera na nogach jak z waty. Po drugiej stronie stał tajemniczy właściciel pierścieni. Obszerna jesionka, szal i kapelusz z szerokim rondem maskowały przybysza, ale nie na tyle, by K. nie mógł go rozpoznać. Widział się z nim wcześniej cztery razy i dobrze zapamiętał. Zresztą zawsze ów jegomość nosił ten sam szal i kapelusz. Jediną wyraźną różnicą było, że tym razem obcy miał ze sobą ozdobny neser i dużą walizkę podróżną na kółkach.

K. otworzył drzwi. Mężczyzna wszedł szybko i zamknął za sobą. Rozejrzał się przy tym, jakby chciał sprawdzić, czy nikt go nie zobaczył. Po przywitaniu K. zaprosił go do mniejszego pokoju, jedyne miejsce, gdzie panował względny porządek. Gość odmówił gestem.

- Wolalbym mieć to już z głowy – oznajmił. Stojąc w korytarzu otworzył neser. Na specjalnej miękkiej wyściółce spoczywało w nim pięć złotych pierścieni.

Gospodarz poszedł do szafy, gdzie miał schowaną zawczasu przygotowaną ostatnią ratę. Wrócił z pieniędzmi.

- Proszę. – Podał reklamówkę z zapłatą. – Wszystko co do złotówki w gotówce. Tak, jak się umawialiśmy. Może pan przeliczyć.

Wyciągnął rękę po neser. Nie wyrzekł ani słowa. Czuł, że gdyby spróbował mówić, głos załamałby mu się z napięcia i gulgotałby tylko niezrozumiale. Obcy ociągał się tak długo, że ręka K. zaczęła drżeć w niemym geście ni to prośby, ni to żądania. W końcu przybysz podał, jakby niechętnie, mniejszą walizkę z nęcącą zawartością.

K. prawie dał się opanować dzikiej radości. Powstrzymał się ostatkiem sił woli. Musiał się jeszcze upewnić, sprawdzić, czy pierścienie są autentyczne. Wyjął wielką lupę z tylnej kieszeni spodni – szczęśliwie wcześniej przygotował się do testu autentyczności. Gdy tylko zaczął czytać, zapomniał o całym bożym świecie i stojącej dwa metry od niego tajemniczej osobie. A nie powinien. Po twarzy obcego można było poznać, że ów toczy jakąś straszliwą wewnętrzną walkę. Na pewno by wtedy zauważył, że ten po pewnym czasie zaczął się powoli, centymetr po centymetrze, skradać.

Byłby zaskoczył tym K., gdyby nie nagły ruch w pokoju z papierzyskami. Zdawało się, że wiatr otworzył źle domknięte okno i rozwiawał luźno leżące materiały. Wyrwało to z zaciętrzewienia gospodarza dosłownie w ostatnim momencie. Obcy był bliżej niż pół metra.

- Co pan robi? – wrzasnął K. odskakując na bezpieczną odległość.

- To nie tak, jak pan myśli, – bronił się przybysz – ja chcę panu pomóc. Te pierścienie są przeklęte! Niech mi je pan lepiej odda!

Dobłą minutę patrzyli na siebie jak dwa byki gotowe do szarży. W końcu tajemniczy jegomość ustąpił. Rozluźnił postawę. Wycofał się o krok.

- W dużej walizce za mną – wskazał ją niedbale – są wszystkie pieniądze, jakie pan, panie K., mi do tej pory zapłaciłeś. – Odkasznął. – Jestem w stanie je panu oddać, jeśli zgodzi się pan zrezygnować z naszej umowy i zwrócić mi pierścionie.

- Nigdy! – Wściekły okrzyk nie pozostawiał złudzeń.

- Niech mnie pan posłucha...

- To ty mnie posłuchaj, drogi panie – zaakcentował „drogi panie”, jakby spluwał. – Nic nie będę zwracał! Przeliczyłeś pan pieniądze? To wynocha!

- Chciałem tylko ostrzec...

K. nie dał dokończyć. Wypchnął delikwenta i jego rzeczy za drzwi. Zamknął się od środka. Nareszcie był sam na sam z pierścieniami.

Ogarnęła go niezdrowa gorączka. Najpierw wpatrywał się w nie tylko zachłannie, gładził, oglądał z każdej strony, jakby nie mógł się nacieszyć. W końcu, około północy zebrał się do odprawienia rytuału. Przygotowania były banalnie proste. Wystarczyło rozłożyć pierścionie równo dokoła siebie i wyrecytować odpowiednie ustępy z Pięcioksięgu w szczególnej kolejności.

K. odgarnął papierzyska w dużym pokoju. Ułożył pierścionie i zaczął deklamować w przestrzeń. Po kilku minutach zdumiony, że nic się nie dzieje, począł ze stanu upojenia popadać w czarną rozpacz. Nagły atak katatonii wyprężył go jak strunę i unieruchomił. Ból niehumanie naprężonych mięśni pozbawił świadomości.

Choć to złe słowo „pozbawił”. K. czuł jakby jego dusza została porwana do nieba. Bezcielesny podązał przez nocny nieboskłon nad Ziemią, aż dogonił linię wschodu słońca. Zdawało mu się, że podróż trwała sekundę, gdy trafił do zbudowanego na białych obłokach ogromnego pałacu. Nie zwolnił jednak. Brama, wrota i podwoje otwierały się przed nim same, gdy tak pędził. Przelatywał przez strojne komnaty ciągnięty dziwną siłą ku niewiadomemu celowi. Zdumiony zauważył, że pomieszczenia były zazwyczaj puste i tylko czasami krzątała się po nich służba, pilnując, by się nie zakurzyły pod nieobecność pana zamku.

W końcu zatrzymał się w wielkiej, jak wewnątrz katedry, komnacie tronowej. Nie było w niej okien, gdyż ściany po lewej i prawej obwieszane zostały pułkami, na których stały najróżniejsze szklane kulki zabawki z miniaturowymi miastami i sztucznym śniegiem w środku. Na przeciw znajdowało się podwyższenie z bogato rzeźbionym tronem obszytym purpurowym aksamitem. Tron był pusty.

K. czuł, że wie, kto powinien na nim siedzieć – pan i władca wszechświata. Gdyby tak było, spytałby go o tak wiele rzeczy. Mógłby dzięki odpowiedziom wreszcie zrozumieć, dlaczego życie jakby go trochę minęło. Dlaczego od tak dawna wydawało mu się, że świat był źle skrojony, przynajmniej źle dla niego. Ale nie było kogo pytać. Upadł na kolana przełamany strasznym brzemieniem. Zapłakał.

- Ehem, ehem. – Najwyraźniej w pustej sali ktoś chrząkał. K. nie potrafił dojrzeć żywej duszy. – Ehem, ehem. – Głos dochodził jakby z tronu.

- Tak? – Niepewnie rzucił bezcielesny K.

Zza tronu wyłonił się trefniś. Ubrany był jak błazen z obrazu Matejki – na czerwono i w trójkątnej czapce. Twarz miał znajomą, ale nie dało się skojarzyć czyją. Idąc w kierunku naszego bohatera zaczął żonglować pomarańczami. I śpiewał przy tym marynarską piosenkę. Zatoczył się nagle, potknął, fiknął kozła, i w dziwnej tej pozycji złapał wszystkie pomarańcze. Po chwili był już przy gościu.

- Witam – zagał do K. – Błazen jestem.

- K., renowator zabytków.
  - Miło mi niezmiernie. Z czym żeś pan przychodzisz przed oblicze króla, jeśli można wiedzieć? – Trefniś uklonił się dworsko. Ściągnął przy tym czapkę i zamiótł nią podłogę. Dzwoneczki do niej przypięte brzęczały wesoło. Czekał w tej niewygodnej pozycji dopóki rozmówca nie zaczął odpowiadać.
  - Chciałem zobaczyć króla, bo myślałem, że król mógłby mi pomóc pozbierać się w tym wszystkim. No w życiu moim.
  - Aha. – Błazen pomachał palcem na „nie, nie, nie”. – Niestety król na polowaniu. Dziś go nie będzie.
  - A kiedy się można spodziewać powrotu króla?
  - Poluje ze dworem na jelenie w górach na wschodzie, to i może się im zejść ze trzysta lat.
- K. przełknął ślinę.
- Ale przecież to król. Powinien być tu, w sali tronowej.
  - Nie, nie, nie. – Trefniś zaczął fikać koziołki dokoła. – Chyba żeś się pan pomylił. Jak w królestwie dobrze się wie, to i król spokojnie na polowanie może pojechać i na włości odwiedzić, i kanikuły zażywać. Po to ma całą służbę i podwładnych, żeby sam nie musiał wszystkiego robić.
- Podłamało to K., i chyba błazen zauważył zmartwienie.
- Może ja pomogę? – dopytał.
  - Jak?
  - Pytać się mnie o ważne sprawy nie masz co drogi gościu. Tak już długo jestem błaznem, że tylko po błazeńsku odpowiadać umiem: żartem albo zagadką. A nie wszystkie żarty moje głębokie bywają, a i zagadki bardziej do śmiechu niż nauki. Ale może inaczej pomogę. Co cię trapi?
  - Straciłem cały majątek, nie mam do czego wracać.
  - To najmniejsze zmartwienie. – Trefniś objął gościa i pomógł wstać. - Jutro, gdy wstaniesz, w notatniku, co to leży w pokoju na biurku, będziesz miał wskazówki, co robić. A za rok dokonasz transakcji sprzedaży złotych pierścieni kolejnemu poszukiwaczowi. Tak odzyskasz majątek.
  - Wiesz o pierścieniach! – K. odsunął się od błazna, po czym dokładniej mu przyjrzał. Trefniś przypominał diabła. Nareszcie też skojarzył czyja jest ta znajoma twarz. Była jego własną, tylko pozbawioną zmarszczek i brwi.
  - Ty, ty, ty... - oskarżycielsko sepleniał przerażony mężczyzna. Nie potrafił dokończyć i wypowiedzieć zarzutu.
  - Nie musisz się zgadzać – słodził błazen. – Wszystko zależy od ciebie. Masz może jeszcze jakieś życzenia?
  - Ja tylko chciałem być szczęśliwy! – krzyczał zrozpaczony K. w przestrzeń. – Nic więcej!
  - Da się zrobić, gratis. – Chytrze rzucił trefniś. – Posmakuj szczęścia. Cudzego.

Nagle jakaś siła wyciągnęła go z pałacu. Wyglądało na to, że wraca.

Niezupełnie.

Oczy, które otworzył, były oczami dziecka. Wiedział, że nie jest sobą, lecz tylko przeżywa świat z perspektywy innej osoby.

Była wigilia. Bardzo się z tego cieszył. W tym roku do babci i dziadka zjechała prawie cała rodzina. Dzięki temu mógł bawić się z braćmi i siostrami ciotecznymi. Pomyślał, że dzięki temu będzie mnóstwo prezentów. Ucieszył się. Tak ciepło, nie tylko ze względu na siebie, ale na wszystkich.

Do wieczery wigilijnej grał w łapki i bawił samochodzikami. Dorośli zabronili dzieciom zabawy w chowanego i biegania, ale za to pozwolili rysować, a wujek Krzysiek pokazywał sztuczki. Było mu

dobrze, jak zawsze na święta u dziadków. Był szczęśliwy. Tak szczęśliwy, że nie myślał o tym, że jest szczęśliwy. Dzielił się szczęściem i ciepłem, a ono powracało i powracało.

Wieczorem były prezenty. Słodycze, zabawki i książki z obrazkami. Dorośli oczywiście mieli mniej ciekawe pomysły na podarki, ale oni zawsze wszystko potrafili skomplikować i stracić większość uciechy. Później wszystkie dzieci tak długo bawiły się razem tym, co dostały, że chyba posnęły w końcu ze zmęczenia i rodzice musieli zanosić je do łóżek i przebierać. Inaczej nie można było wytłumaczyć tego, że nie pamiętał, kiedy poszedł spać.

Rano były święta. Wesole śniadanie, kościół, rzucanie śnieżkami i sanki. Po obiedzie udało się ulepić trzy bałwany. Nie prawda, że szaleństwu nie było końca. Pod wieczór cała ferajna najmłodszych padała z nóg.

Leżąc zmęczony przyglądałem się szarej, trochę jakby z boku, postaci. To był wujek. Jak on się nazywał? Nie pamiętałem. Pamiętałem, że rzadko się uśmiechał i bawił. Było mi go trochę żal i nawet przyniosłem mu cukierków dla rozweselenia, ale nawet nie spróbował. Gdy tylko odwrócił wzrok popadł w ten swój stan chłodu i dalekiego zamyślenia. Chciałem dać mu trochę ciepła. Myślałem, że je weźmie i podzieli się nim dalej, ale on go nawet nie zauważył. Zdziwiony próbowałem złapać jego spojrzenie. Nie udało się. Jak się on nazywał?

K.

K. obudził się strasznie obolały. Był ranek. Najwyraźniej spał na podłodze. Bolały go wszystkie gnaty. Półprzytomny wstał. Powoli dochodził do siebie. Przypominał przebieg wieczoru. Sprawdził notatnik. Rzeczywiście była w nim notka o kolejnym kupcu.

Na koniec jak szalony rzucił się do szafki ze swoimi niehistorycznymi książkami. Wyciągnął „Fausta” Geothego i odczytał:

„Jam częścią tej siły, co wiecznie zła pragnąc, wiecznie dobro czyni.”

Roześmiał się. Pogodnym, szczęśliwym śmiechem po raz pierwszy od wielu lat.

Koniec.

Pierwotwór K. - Józef K. – bohater „Procesu” Kafki.

5 złotych pierścieni – Pięcioksiąg, Tora. Księga rodzaju – Genesis, Bereszit; Księga Wyjścia – Exodus, Szemot; Księga Kapłańska – Leviticus, Wajikra; Księga Liczb – Numeri, Bemidbar; Księga Powtórzonego Prawa – Deuteronomium, Dwarim.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).